

Juliusz Gałkowski: Saga o polskim Bałtyku

Odzyskanie niepodległości, a następnie brutalne przesunięcie granic w roku 1945, spowodowały, że w jakiś sposób musieliśmy się zmierzyć z faktem, że stawaliśmy się państwem i narodem nadmorskim. Tak naprawdę polski Bałtyk należało nie tyle odbudować, co skonstruować – pisze Juliusz Gałkowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bałtyk. Mare nostrum?”.

Skutki pewnej niebezpiecznej rozmowy

Gdyby nie fakt, że w pewnej księgarni w okupowanej Warszawie zabrakło ważnej pozycji naukowej i zaistniała konieczność sprowadzenia jej z Jeny, zapewne nigdy nie powstałaby jedna z ciekawszych powieści przygodowych dwudziestowiecznej Polski. Władysław Jan Grabski tak opisywał tę historię z 1942 roku:

Księgarz, starszy, o inteligentnej twarzy Niemiec, chętnie podjął się tego, chwając znane mu wydawnictwa. Zapisał sobie, co trzeba i na ostatek spytał o mój dokładny adres i nazwisko.

Usłyszawszy je zagadnął z pewnym zażenowaniem:

— Nie jest pan chyba Polakiem, doktorze?...

— Owszem, jestem Polakiem.

Księgarz na to skrzywił się i cofnął:

— *Leider*, nie będę mógł załatwić tego zamówienia.

— Czemu? — Zaniepokoiłem się. — Mogę zapłacić całą należność z góry...

Niemiec zeszytniał i wyrecytował apodyktycznym tonem:

— Polacy nie potrzebują studiować! Wystarczy, jeżeli uczeni niemieccy zechcą zajmować się waszymi dziejami! Nie podjąłem z nim dyskusji na ten temat. Jeszcze by wpadł na pomysł przekazania mego adresu Gestapo...

Warto zwrócić uwagę na dwa ciekawe aspekty tej historii. Po pierwsze Władysław Jan Grabski, polski pisarz, działacz polityczny, a prywatnie żięć prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego, mówił tak dobrze po niemiecku, że ów księgarz nie zorientował się odnośnie jego narodowości. Po drugie, w przypadku tego akurat człowieka huk armat nie spowodował milczenia muz. Mimo mroku wojny (brał udział w kampanii wrześniowej) i okupacji, kontynuował swoje badania z zakresu historii wczesnego średniowiecza, a szok i stres spowodowany rozmową w zarekwirowanej przez okupantów księgarni zaowocował pisaniem książki.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Swoją motywację autor opisał następująco:

Wolno było o Wendach Burisleifa śpiewać skaldom, co im dogadzało, wolno i mnie, potomkowi tych Wendów, pisać o wikingach-sąsiadach tak, jak ich przypomina oddech polskiej ziemi... „Niech moja sztuka budzi krzepiącą miłość a nie osłabiającą wzgardę dla przeszłości własnego narodu”. Podobnie rozmyślałem postanawiając nazwać komponowaną powieść o namiestniku Broniszu właśnie *Sagą o jarlu Broniszu*.

I powstała historia doskonale opowiedziana i naprawdę wciągająca. Myślę, że na fali „wikingomanii” jaka przelewa się przez światowe, i polskie, kino oraz przez literaturę fantasy, książka napisana siedemdziesiąt pięć (bagatela!) lat temu mogłaby zrobić furorę – pod warunkiem, że byłaby dobrze wypromowana. Równie dobrze mogłaby stać się podstawą filmu lub serialu telewizyjnego. Lekturę tę można by także spokojnie polecić osobom zastanawiającym się nad treścią do nowej gry RPG, nadawałby się też doskonale na scenariusz komiksu.

W *Sadze...* jest bowiem wszystko: zdrada i miłość, polityka i intrygi, wreszcie bójki, pojedynki i wielkie bitwy. Prawem kontrastu zawiera także opisy sielskiego życia w Polsce doby Chrobrego. Owszem, są też elementy o wiele mniej współczesnej kulturze odpowiadające. Jest bowiem Grabski pisarzem religijnym, katolickim *par excellence*. Mamy tam wiele fragmentów, będących typowymi rozważaniami polskiego intelektualisty katolickiego z połowy XX wieku, więc nieco anachronicznie brzmiącymi w ustach polskich wojów i ich żon. Ale historia świętego Wojciecha, opisana równoległe do przygód miłosnych i wojennych tytułowego Bronisza, jest naprawdę frapująca, i pokazująca w jaki sposób, ten czeski książę i praski biskup, stał się patronem naszego kraju i prawdziwie polskim świętym.

A nas burza nie odstrasza...

Ale kiedy już napatrzymy się na walki, nasłuchamy o politycznych intrygach i zbudujemy duchowo, to odkryjemy, jednym z prawdziwych bohaterów tej książki jest Bałtyk. Morze, które od samego początku pociągało Piastów i podległych im polskich wojów. Co prawda Gall zwany Anonimem słynne słowa pieśni:

Hii procellas non verentur neque maris sonitus;

napisał kilka pokoleń później, ale równie dobrze możemy przepisać je Broniszowi – wojowi z czasów Chrobrego. Wyrwał się on z ziemi kujawskiej (wiele wskazuje, że z okolic Solca) i poznawał świat. Ale obszarem, który był poddany jego jurysdykcji, były właśnie morza północy. A pełnił tę rolę jako Polański (polski) namiestnik w twierdzy Jomsborg.

Polska władza nad Jomsborgiem! Trudno sobie wyobrazić o bardziej perfidną zemstę polskiego intelektualisty nad niemieckimi okupantami. Gdy Grabski kreował polskiego woja wydającego rozkazy Trygvassonowi i Sygvaldowi, który jak równy z równym negocjował ze Svenem i Olafem szwedzkim, hitlerowscy zausznicy kreowali wikińską legendę jako nie tylko wielkich wojowników, ale i prawdziwych twórców cywilizacji

Bałtyku. Jomsborg stawał się w ich mitologii zapowiedzią *Drang nach Osten*, a osada Jumne dowodem tego że rasa panów może (a nawet powinna) skutecznie panować nad słowiańską tłuszcą. Wtedy też kreowano koncepcję, że wikingowie byli prawdziwymi twórcami państw słowiańskich – wszak ci nie byliby zdolni do państwowotwórczych ruchów. Grabski widział to, i zaczął tworzyć naszą polską kontrlegendę. Polacy byli w stanie powstrzymać germańsko-nordycką nawałę właśnie nad Bałtykiem.

Grabski wytyczył w polskiej literaturze pewien trop, wszak zaraz po nim Gołubiew nakazuje Chrobremu zdobyć Jomsborg i wyznaczyć tam Dzierzka namiestnikiem. Później pojawia się też (chyba słusznie zapomniana) powieść o księżniczce Astrydzie; zaś obecnie Elżbieta Cherezińska raczy nas zdwojoną opowieścią o Sygrydzie-Storradzie. Jednakże muszę stwierdzić że w moim odczuciu, pierwsza historia o polskim Bałtyku – czyli *Saga* właśnie – była najlepsza.

Ale oprócz, jakże sugestywnie i w gruncie rzeczy bardzo negatywnie, opisanego na kartach powieści świata nordyckiego, autor odsyła nas jeszcze do innej zapomnianej i tajemniczej krainy. Bronisz za pośrednictwem swego druha – Dzika z Chyciny przenika w tajemniczy świat Słowian nadbałtyckich, do kolejnego zburzonego grodu – Arkony. Niejeden czytelnik *Sagi* marzył o tym by odnaleźć Chycinę, czy przenieść się do państwa Rugiów.

Warto zwrócić uwagę, że – z typowym dla siebie, jakże przekornym, poczuciem humoru – Arkonę i Jomsborg rozpropagował w komiksowej opowieści Janusz Christa. Przeniesiony wiatrami historii z Wilna nad polski Bałtyk, zapoznał się chyba w dzieciństwie z powieściami Gołubiewa lub Grabskiego, by do owych wspomnień powrócić w latach siedemdziesiątych rysując brawurowo arcyśmieszoną opowieść o wczasach Polańskich wojów nad Bałtykiem. Komiksowa karykatura chyba bardziej rozpowszechniała owe wspomniane powyżej miasta niż wszystkie powieści razem wzięte.

I już tylko dla porządku przywołajmy powieść Anny Świrszczyńskiej *Arkona gród Świętowita*, opisująca *ad usum delphni*, dzieje Rugii czyli Rany i budująca nadzieję, że zwycięstwo germańskiego żywiołu nie

będzie ostateczne.

*Są tacy, którzy powieści
opisujące piastowskie
przewagi nad Niemcami
oceniają terminem
„rewanżyzmu”. Nie jest to
jednak cała prawda*

A na zakończenie
powieści, tworzy
Grabski epicką
opowieść o bitwie
nad głębią
Svoldeną. Ta bitwa
morska opisana w
Heimskringla, miała
miejsce w roku

tysięcznym, Grabski wykorzystuje ten fakt aby powiązać go ze Zjazdem Gnieźnieńskim i kreując parę polskich tryumfów. Dyplomatyczny – nad niemieckim cesarstwem i orężny nad wikińskim żywiołem. Ma tutaj typowo heglowski brak miłosierdzia dla faktów, na szczęście powieść to nie traktat historyczny i można puszczać wodze fantazji. Śmierć Trygvassona w ramionach słowiańskiej księżniczki, i pochowanie go na słowiańskiej wyspie, gdzieś u polskich wybrzeży ukazuje głębszy sens naszej obecności nad tym morzem. To jest kreowanie legendy, swoiste miksowanie Wandy, co nie chciała Niemca z hallerowskimi zaślubinami z morzem.

Przesada? Waleczny norweski konung Trygvasson (a prywatnie przyjaciel Bronisza i ukochany Sygrydy) poszanowania zbudować wielką potęgę północną, do czego konieczne jest zniszczenie potęgi Burisleifa czyli Chrobrego. Dlatego wydaje gdzieś nad głębią Svolden (u Grabskiego lokowanej nie w cieśninach duńskich, lecz opodal Szczecina) bitwę wielkiej koalicji, Szwedów, Danów i oczywiście Polaków oraz podległych im Jomswikingów. Co istotne w owej morskiej superbitwie biorą udział także sprzymierzeni z Polską Ranowie z Arkony. Staje się – sympatyczny przecież – norweski watażka, synonimem zła i germańskiej nawały. A wygrywa dobro – utożsamiane z Polską i ze słowiańską sielanką.

I owa nowoczesna legenda ma głęboki sens.

O bałtycką ideę

Koncepcja roku tysięcznego jako pieczęci potwierdzającej nasze trwanie w granicach piastowskiego państwa odpowiada nie tylko czasom wojennym, ale także i tym, gdy powieść nabierała ostatecznych kształtów przed wydaniem, a jej autor pracował w Ministerstwie Ziem Odzyskanych. Na szczęście zdążył opublikować *Sagę o jarlu Broniszu*, zanim objął go zapis cenzorski. O nie jest to jedynie zwrot retoryczny. W roku 1950 Władysław Jan Grabski miał realne podstawy obawiania się nie tylko o swoją wolność ale i o życie, zniszczył wtedy szereg rękopisów, *Saga* uratowała się, ponieważ została wydana na czas.

Są tacy, którzy powieści opisujące piastowskie przewagi nad Niemcami oceniają terminem „rewanżyzmu”. Mając w pamięci rozważania Grabskiego po wyjściu z owej feralnej księgarni, trudno im odmówić racji. Ale nie jest to cała prawda.

Odzyskanie niepodległości, a następnie brutalne przesunięcie granic w roku 1945, spowodowały, że w jakiś sposób musieliśmy się zmierzyć z faktem, że stawaliśmy się państwem i narodem nadmorskim. Tak naprawdę polski Bałtyk należało nie tyle odbudować, co skonstruować. Byliśmy o tyle morscy, „ile zdołaliśmy wjechać do Bałtyku na koniach”, a przeważnie wystarczyło zamoczyć końskie pęciny. W naszej kulturze morze też praktycznie było nieobecne. I owo morskie imaginarium należało zbudować. Na złość Niemcom, ale wynikało to przede wszystkim z realizmu.

Rozważania o historii owej budowy kultury morskiej należy odłożyć na inny czas. Ale musimy przyznać, że było to proces zdumiewająco nieskuteczny. Mimo wykreowania kilku legend – jak na przykład zaginionego okrętu podwodnego ORP Orzeł – mimo stoczni, portów i żeglugi morskiej, nie przepoczwarzyliśmy się z narodu nadmorskiego w naród morski; generałowie Haller i Zaruski oraz pisarze Borchardt i Grabski, przewracają się w grobach...

Tych prób było nieco, ale zdają się nie tylko nieliczne ale też jakieś słabe i rachityczne. I jakoś dziwnie z ich klęską współbrzmiały upadłe stocznie i porty. Publicyści biją na alarm, że już praktycznie nie mamy marynarki i floty, że nasi marynarze mustrują się pod obce bandery... że nie mamy

morskich fachowców, morskich szkół... Bałtyk nigdy tak naprawdę nie stał się akwenem, o którym moglibyśmy powiedzieć: mare nostrum. Nie było społecznego zapotrzebowania, zabrakło nam narodowej wyobraźni.

Być może czas odnowić zakurzone (choć tak nieliczne) morskie przewagi, pod Oliwą, czy w Zatoce Świeżej? Przypomnieć stare, i napisać nowe, morskie opowieści. Może pora aby powstała polska Saga o Bałtyku?

Juliusz Gałkowski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego